

YANN



MARTEL

AUTOR ŻYCIA PI



WYSOKIE
GÓRY



PORTUGALII



Tomás postanawia iść piechotą.

Z jego skromnego mieszkania na Rua São Miguel w okrytej złą sławą dzielnicy Alfama do okazałej posiadłości stryja w zamożnej Lapie trzeba przejść prawie całą Lizbonę. Najpewniej zajmie mu to godzinę. Jednak wstał jasny, łagodny poranek i przechadzka pozwoli ukoić nerwy. Wczoraj Sabio, jeden ze służących stryja, przyszedł po jego walizkę oraz drewniany kufer z dokumentami potrzebnymi do misji w Wysokich Górach Portugalii, dlatego Tomás ma do przeniesienia tylko siebie.

Tomás poklepuje kieszeń na piersi kurtki. Dziennik ojca Ulissesa spoczywa tam, owinięty w kawałek materiału. Zabieranie go ze sobą nie jest zbyt rozważne, bo jego zaginięcie byłoby prawdziwą katastrofą. Gdyby Tomás miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, zostawiłby dziennik w kufrze. Ale tego ranka potrzebuje dodatkowego wsparcia moralnego, jak podczas każdej wizyty u stryja.

Mimo podniecenia pamięta o tym, by zamiast zwykłej laski zabrać tę, którą dostał od stryja. Rączkę wykonano z

kości słoniowej, a samą laskę z afrykańskiego mahoni, choć naprawdę niezwykłą czyni ją okrągłe kieszonkowe lustro, sterzące tuż pod rączką. Z powodu lekkiej wypukłości lusterka odbija się w nim rozszerzony obraz. Co prawda niczemu ono nie służy – to poroniony pomysł – ponieważ laska jest, z natury rzeczy, w ciągłym ruchu, przez co odbicie za bardzo podryguje, jest zbyt niestabilne, by na cokolwiek się zdać. Jednak tę wytworną, wykonaną na zamówienie laskę dostał od stryja i zabiera ją, ilekroć składa mu wizytę.

Tomás rusza w dół Rua São Miguel, do Largo São Miguel, potem idzie Rua de São João de Praça i skręca w Arco de Jesus – lekki spacer po mieście, które zna przez całe życie, po mieście piękna i zgiełku, handlu i kultury, wyzwania i nagród. Na Arco de Jesus osacza go wspomnienie Dory, uśmiechniętej i wyciągającej rękę, by go dotknąć. Teraz laska się przydaje, ponieważ wspomnienia o Dorze zawsze wytrącają go z równowagi.

– Trafił mi się bogaty – powiedziała mu pewnego razu, gdy leżeli w łóżku u niego w mieszkaniu.

– Obawiam się, że nie – odparł. – To mój stryj jest bogaty. Ja jestem tylko biednym synem jego biednego brata. Tacie nie wiodło się w interesach wprost proporcjonalnie do powodzenia stryja Martima.

Nigdy nikomu tego nie powiedział, nigdy tak otwarcie i szczerze nie mówił o burzliwej karierze ojca, o kolejnych planach biorących w łeb, przez co ojciec stawał się coraz bardziej zależny od brata, który za każdym razem ratował go z opresji. Ale Dorze mógł to wyznać.

– Och, tylko tak mówisz, ale bogacze zawsze mają gdzieś ukryte stopy pieniędzy.

– Naprawdę? – Tomás się zaśmiał. – Nigdy nie myślałem o stryju jako o człowieku, który skrywa majątek. Ale jeśli tak jest, jeśli jestem bogaty, czemu za mnie nie wyjdiesz?

Ludzie patrzą na idącego Tomasasa. Padają komentarze, czasem żartobliwe, ale większość przyjazna. „Uważaj, bo się potkniesz!” – woła z troską pewna kobieta. Zdążył już przywyknąć do tego zainteresowania. Nie zwraca na ludzi uwagi, ogranicza się do uśmiechu i skinienia głową.

Krok za krokiem zmierza w stronę Lapy; idzie swobodnie, wysoko unosząc nogi i stawiając je z namaszczeniem. Tomás kroczy z gracją.

Nadeptuje na skórę od pomarańczy, ale się nie ślizga.

Nie zauważa śpiącego psa, ale stawia piętę tuż obok jego ogona.

Schodząc po krętych schodach, potyka się, ale przytrzymuje się poręczy i bez trudu odzyskuje równowagę.

I jeszcze kilka tego rodzaju drobnych niepowodzeń.

Na wzmiankę o małżeństwie uśmiech zniknął z twarzy Dory. Taka już była: w jednej chwili przechodziła od beztroski do głębokiej powagi.

– Nie, twoja rodzina by cię wyklęła. Rodzina jest wszystkim. Nie wolno odwracać się plecami do swoich.

– Ty jesteś moją rodziną – odparł, patrząc na nią.

– Nie, nie jestem. – Dora potrząsnęła głową.

Oczy, zwolnione z obowiązku prowadzenia go, rozluźniają mu się w czaszce jak dwaj pasażerowie siedzący na rufie. Zamiast nieustannie lustrować ziemię, z rozmarzeniem rozglądają się dokoła. Dostrzegają kształty drzew i chmur. Gonią za ptakami. Patrzą na parszającego konia, który ciągnie wóz. Spoczywają na wcześniej niezauważanych

detalach architektonicznych. Obserwują zgiełk na Rua Cais de Santarém. W sumie powinna to być rozkoszna poranna przechadzka, w ten dzień pod koniec grudnia 1904 roku.

Dora, śliczna Dora. Pracowała jako służąca u jego stryja. Tomás zauważył ją już podczas swojej pierwszej wizyty tuż po tym, jak stryj ją zatrudnił. Z trudem odrywał od niej wzrok, nie mógł przestać o niej myśleć. Starał się być wobec niej szczególnie uprzejmy, raz po raz nawiązywał rozmowę o błahostkach. Dzięki temu mógł cieszyć się widokiem kształtnego nosa, roziskrzonych ciemnych oczu, drobnych białych zębów, sposobu poruszania się. Nagle zaczął być częstym gościem u stryja. Dokładnie pamiętał chwilę, gdy Dora uzmysłowiła sobie, że zwraca się do niej nie jak do służącej, ale jak do kobiety. Na krótką chwilę spojrzała mu w oczy, potem się odwróciła, ale wcześniej uniosła kącik ust w uśmiechu cichego porozumienia.

Coś wielkiego doszło w nim wtedy do głosu; bariera klas, pozycji i całkowitej niemożliwości zniknęła. Podczas kolejnej wizyty, gdy podawał jej swój płaszcz, ich dłonie się dotknęły i oboje przedłużali ten dotyk. Potem sprawy potoczyły się szybko. Dotychczasowe doświadczenia seksualne Tomasa sprowadzały się do spotkań z prostytutkami, co najpierw było straszliwie podniecające, potem zaś straszliwie przygnębiało. Za każdym razem czmychał zawstydzony, ślubując sobie nigdy więcej tego nie robić. Z Dorą było to najpierw straszliwie podniecające, a potem straszliwie podniecające. Opierając głowę na ramieniu Tomasa, bawiła się gęstymi włosami na jego piersi. Nie miał ochoty donikąd uciekać.

– Wyjdź za mnie, wyjdź za mnie – błagał. – Będziemy

bogactwem sami dla siebie.

– Nie, będziemy biedni i osamotnieni. Nie wiesz, co to znaczy. Ja wiem i nie chcę, żebyś przez to przechodził.

W takim miłosnym martwym punkcie narodził się ich mały Gaspar. Gdyby nie żarliwe prośby Tomasza, Dorę zwolniono by ze służby u stryja, gdy okazało się, że jest w ciąży. Jego jedynym poplecznikiem był ojciec, który radził mu, by nie odrzucał swojej miłości do Dory, w przeciwieństwie do cichego potępienia ze strony stryja. Dorę odesłano do niewidocznych zadań w głębi kuchni. Gaspar, równie niewidoczny, dorastał w domu rodziny Lobo, niewidocznie kochany przez ojca, który niewidocznie kochał jego matkę.

Tomás odwiedzał ich tak często, jak pozwalała przyzwoitość. Dora i Gaspar przychodzili do niego do Alfamy w jej wolne dni. Szli do parku, siadali na ławce, patrzyli, jak Gaspar się bawi. W takie dni niczym nie różnili się od zwykłego małżeństwa. Tomás był zakochany i szczęśliwy.

Gdy mija przystanek tramwajowy, po szynach przetacza się z turkotem tramwaj, nowy, zaledwie trzyletni środek transportu, jaskrawożółty i elektryczny. Pasażerowie spieszą, by wsiąść, inni z pośpiechem wysiadają. Udaje mu się wyminąć wszystkich prócz jednego, z którym się zderza. Po szybkiej wymianie przeprosin Tomás rusza dalej.

Kilka brukowców sterczy z chodnika, ale bez trudu sunie nad nimi.

Uderza nogą o nogę kawiarnianego krzesła, ale tylko lekko je potrąca.

Śmierć zabrała Dorę i Gaspara kolejno, bezlitośnie. Umiejętności lekarza wzywanego przez stryja na nic się nie

zdały. Najpierw kaszel i zmęczenie, potem gorączka, dreszcze, bóle, ból przy przełykaniu, trudności z oddychaniem, konwulsje, szeroko otwarte oczy, utrata przytomności – aż w końcu ulegli. Ich poszarzałe, skręcone ciała, równie nieruchome jak pościel, w której się rzucali. Tomás był przy nich obojgu. Gaspar przeżył pięć lat, Dora dwadzieścia cztery.

Nie był świadkiem śmierci ojca kilka dni później. Oniemiały z żalu, siedział w pokoju muzycznym domu Lobo razem z kuzynką, gdy z posępną miną wszedł stryj. „Tomasie, mam straszne nowiny – powiedział. – Silvestro, twój ojciec, umarł. Straciłem jedyne brata”. Słowa były jedynie dźwiękami, ale Tomás poczuł się fizycznie zmiażdżony, jakby przygniótł go olbrzymi głaz; zatoczył się jak ranne zwierzę. Jego ojciec, ciepły niedźwiedź! Człowiek, który go wychował, który wspierał jego marzenia!

W ciągu jednego tygodnia – Gaspar umarł w poniedziałek, Dora w czwartek, ojciec w niedzielę – serce Tomasa otworzyło się jak pękający kokon. Ale zamiast motyla wyłoniła się z niego szara ćma, która przysiadła na ścianie jego duszy i przestała się ruszać.

Odbyły się dwa pogrzeby: mizerny dla służącej z prowincji i jej nieślubnego synka oraz wystawny dla biednego brata bogacza, a o jego niepowodzeniach finansowych dyskretnie nie wspomniano.

Schodząc z krawężnika, Tomás nie zauważa nadjeżdżającego powozu, ale słyszy ostrzegawczy krzyk woźnicy i uskakuje przed koniem. Lekko trąca mężczyznę stojącego plecami do niego. Tomás unosi dłoń i mówi:

– Przepraszam.

Tamten przyjaźnie wzrusza ramionami i odprowadza go

wzrokiem.

Krok za krokiem, co kilka chwil odwracając głowę, by zobaczyć przez ramię, co też go czeka, Tomás tyłem idzie do Lapy.

„Dlaczego? Cemu to robisz? Dlaczego nie chodzisz jak normalny człowiek? Skończ z tym nonsensem!”, wołał już wielokrotnie stryj. Tomás przedstawiał silne argumenty na poparcie takiego sposobu chodzenia. Czy nie jest sensowniej iść naprzeciw żywiołom – wiatrowi, deszczowi, słońcu, atakującym owadom, ponurości obcych, niepewnej przyszłości – z tarczą, jaką jest tył własnej głowy, tył płaszcza, siedzenie spodni? Przecież są one naszą osłoną, naszą zbroją. Służą temu, by znosić przeciwności losu. Kiedy idzie się tyłem, wszelkie delikatne części – twarz, pierś, atrakcyjne elementy ubioru – są chronione przed okrutnym światem i człowiek może je pokazywać tylko wtedy, gdy chce, tylko tym osobom, którym zechce, za pomocą prostego odwrócenia się, odbierającego anonimowość. By nie wspomnieć o argumentach bardziej fizycznej natury. Cóż naturalniejszego niż schodzenie ze wzgórza tyłem? – myśli Tomás. Przody stóp dotykają podłoża zręcznie i lekko, mięśnie łydek mogą precyzyjnie dostosowywać napinanie się i rozluźnianie. Tym samym ruch staje się elastyczny, wolny od napięć. Gdy człowiek się potyka, o ileż bezpieczniej robić to tyłem, gdy miękkie pośladki złagodzą upadek? Lepiej tak, niż łamać przeguby, padając do przodu. Zresztą Tomás nie jest przesadnie uparty. Robi wyjątki, na przykład kiedy wspina się na długie kręte schody Alfamy albo kiedy musi biec.

Wszystkie te uzasadnienia stryj kwituje niecierpliwym

machnięciem ręki. Martim Augusto Mendes Lobo jest niecierpliwym człowiekiem sukcesu. Mimo swoich poirytowanych pytań i wymijających wyjaśnień bratanka stryj dobrze wie, czemu Tomás chodzi tyłem. Pewnego razu Tomás podsłuchiwał, jak stryj rozmawia z gościem. Właśnie dlatego, że ściszył głos, Tomás nadstawił uszu.

„...całkowicie komiczna scena – mówił cicho stryj. – Wyobraź sobie: przed nim, to znaczy za nim, znajduje się latarnia uliczna. Wołam mojego sekretarza, Benita, i obaj patrzymy w milczeniu, zafascynowani, obracając w głowach tylko jedno pytanie: czy mój bratanek zderzy się z latarnią? W tym momencie na drugim końcu ulicy pojawia się drugi przechodzień, który zauważa idącego tyłem Tomasa. Po przekrzywionej głowie nieznajomego widzimy, że osobliwy chód mego bratanka przykuł jego uwagę. Z doświadczenia wiem, że dojdzie do szczególnego spotkania – padną komentarze, żarty, przynajmniej zdumione spojrzenie. Zgodnie z przewidywaniami, gdy Tomasa dzieli od latarni kilka kroków, nieznajomy przyspiesza i zatrzymuje go klepnięciem w ramię. Tomás się odwraca. Przechodzień wskazuje na latarnię. Tomás uśmiecha się, kiwa głową i w geście wdzięczności kładzie dłoń na piersi. Nieznajomy się uśmiecha. Podają sobie ręce. Machając do siebie, rozchodzą się, każdy w swoją stronę, nieznajomy w dół ulicy, Tomás – okręcając się i znowu ruszając tyłem – w górę. Bez najmniejszych problemów okrąża latarnię.

Ale czekaj, to jeszcze nie wszystko! Po kilku krokach tamten przechodzień odwraca głowę, by spojrzeć na Tomasa, i z wyraźnym zdziwieniem spostrzega, że mój bratanek wciąż idzie tyłem. Na twarzy nieznajomego maluje się troska –

ostrożnie, jeśli nie będziesz uważał, czeka cię wypadek! – ale także lekkie zażenowanie, ponieważ Tomás patrzy w jego stronę i zauważył, że tamten się odwrócił i gapi się, a przecież to niegrzeczne. Przechodzień szybko obraca głowę, jest jednak za późno: zderza się z latarnią. Wali w nią jak serce w dzwon. Benito i ja robimy współczujące miny. Zataczając się, nieszczęśnik krzywi się z bólu, przykładając dłoń do twarzy i piersi. Tomás spieszy na pomoc – biegnie przed siebie. Pomyślałbyś, że jego poruszanie się do przodu będzie wyglądać normalnie, ale tak nie jest. Jego ciała brakuje sprężystości. Zbliża się długimi krokami, z tułowiem wyprostowanym jak na pasie transmisyjnym.

Dochodzi do kolejnej wymiany zdań, Tomás wyraża głęboką troskę, tamten macha lekceważąco ręką, drugą przyciska do twarzy. Tomás podnosi z ziemi kapelusz przechodnia. Po kolejnym uścisku dłoni i kolejnym machnięciu biedak się oddala. Tomás, a także Benito i ja odprowadzamy go wzrokiem. Dopiero gdy znika za rogiem, Tomás podejmuje przechadzkę w typowy dla siebie sposób, rakiem. Całe zajście najwyraźniej go zdezorientowało, ponieważ zderza się z latarnią, którą wcześniej tak zgrabnie ominął. Rozcierając tył głowy, mierzy latarnię groźnym wzrokiem. Mimo to, drogi Fausto, nie rezygnuje. Niezależnie od tego, jak często uderza się w głowę, bez względu na to, ile razy pada, idzie tyłem”.

Tomás słyszy, jak stryj wybucha śmiechem, a Fausto mu wtóruje. Po chwili stryj mówi dalej poważnie:

„To się zaczęło w dniu, gdy jego synek, Gaspar, zmarł na dyfteryt. To było nieślubne dziecko mojej służącej, która zmarła na tę samą chorobę. Zrządzeniem losu kilka dni

później umarł mój brat, Silvestro, w środku dnia, w środku zdania. Matka Tomasa zmarła, gdy był mały. Teraz stracił ojca. Żeby kogoś spotkała taka tragedia! Niektórzy nigdy więcej się nie śmieją. Inni zaczynają pić. Mój bratanek zaczął chodzić tyłem. Minął już rok. Jak długo ma jeszcze trwać ta dziwaczna żałoba?”.

Stryj nie pojmuję, że jego chodzenie tyłem, plecami do świata, plecami do Boga, nie jest żałobą. To jest protest. Albowiem kiedy tracisz w życiu wszystko, co kochasz, cóż innego pozostaje ci oprócz protestu?

Tomás wybiera okreśną drogę. Skręca z Rua Nova de São Francisco i zaczyna iść w górę Rua do Sacramento. Jest już prawie u celu. Odwracając głowę, by obejrzeć się przez ramię – pamięta, że stoi tam latarnia – patrzy na tył wspaniałej posiadłości stryja, gdzie widać wyszukane gzymsy, misterną sztukaterię i strzeliste okna. Czując na sobie czyjś wzrok, dostrzega postać w oknie na pierwszym piętrze. Ponieważ jest to gabinet stryja, należy zakładać, że to właśnie on, Martim, dlatego Tomás ponownie odwraca głowę i rusza pewnym krokiem, ostrożnie omijając latarnię. Idąc wzdłuż muru okalającego posiadłość stryja, dociera do bramy. Okręca się, by sięgnąć do dzwonka, ale jego ręka zastyga w powietrzu. Tomás ją cofa. Chociaż wie, że stryj go widział i czeka, ociąga się. Z kieszeni na piersi wyjmuję stary, oprawny w skórę dziennik, wyłuskuje go z materiału, opiera się plecami o mur, po czym siada na chodniku. Spogląda na okładkę.

Ujęte w słowa życie

I wskazówki do daru ojca Ulissesza Manuela Rosario Pinto

Pokornego sługi Bożego

Tomás dobrze zna dziennik ojca Ulissesa. Całych fragmentów nauczył się na pamięć. Otwiera go w przypadkowym miejscu i czyta.

Gdy statki z niewolnikami dopływają do wyspy, aby dostarczyć ładunek, jest mnóstwo pracy związanej z rachunkami i sprzątaniami. Kiedy widać port, wyrzucają ciała za burty po obu stronach, niektóre bezwładne i uległe, inne gestykujące słabo. To zmarli i ciężko chorzy – pierwszych usuwa się, bo nie są już przydatni, drugich w obawie, że choroba mogłaby się rozprzestrzenić i obniżyć wartość innych. Wiatr przynosi ze statku do moich uszu krzyki żywych niewolników, którzy sprzeciwiają się wyrzucaniu ich z pokładu; przynosi też plusk ciał spadających do wody. Znikają w zatłoczonym Limbo na dnie zatoki Ana Chaves.

Dom stryja też jest Limbo Niedokończonych, Przerwanych Żywotów. Thomás zamyka oczy. Samotność podpełza do niego jak wężący pies. Uporczywie krąży wokół niego. Odgania ją, ale ona nie chce zostawić go w spokoju.

Tomás natrafił na dziennik ojca Ulissesa kilka tygodni po tym, jak życie bezpowrotnie rozsypało mu się w proch. Odkrycie wiązało się z jego pracą w Narodowym Muzeum Sztuki Starożytnej, gdzie jest zatrudniony jako kustosz. Kardynał i patriarcha Lizbony, José Sebastião de Almeida Neto, ofiarował dla muzeum kościelne i świeckie przedmioty, zebrane przez wieki na obszarze portugalskiego imperium. Muzeum wysłało Tomasa do archiwum episkopalnego na

Rua Serpa Pinto, by ustalił dokładne pochodzenie tych pięknych artefaktów, drogę, jaką dany ołtarz, kielich, krucyfiks czy psalterz, obraz lub książka trafiły do rąk diecezji lizbońskiej.

Archiwa, które zobaczył, były dalekie od ideału. Najwyraźniej kolejni sekretarze arcybiskupów Lizbony nie przywiązywali wielkiej wagi do przyziemnego porządkowania tysięcy dokumentów. Na jednej z otwartych półek poświęconych patriarchatowi kardynała José Francisco de Mendocha Valdereisa, patriarchy Lizbony w latach 1788–1808, w części opatrzonej pobieżną nazwą *Miudezas* – Różności – zobaczył ręcznie zszyty tom oprawny w brązową skórę, z odręcznym tytułem, wciąż czytelnym pomimo przebarwień.

Co to było za życie, o jaki dar chodziło? – zastanawiał się Tomás. Czym były wskazówki? Kim był ojciec Ulisses? Kiedy otworzył książkę, grzbiet wydał odgłos łamiących się drobnych kosteczek. Oczom Tomasa ukazało się zaskakująco świeże pismo, czarny inkaust kontrastował z papierem o barwie kości słoniowej. Pochyłe litery, kaligrafowane gęsim piórem, pochodziły z innej epoki. Żółtawe marginesy świadczyły o tym, że te strony widziały bardzo mało światła, odkąd je zapisano. Tomás wątpił, by kardynał Valdereis kiedykolwiek przeczytał dziennik. Biorąc pod uwagę brak notki archiwalnej dołączonej do okładki czy wsuniętej do środka – żadnego numeru katalogowego, daty, komentarza – i brak wzmianki o dzienniku w indeksie, nabrał przekonania, że dziennika nikt nigdy nie czytał.

Przyjrzał się pierwszej stronie, na której odnotowano datę i miejsce: 17 września 1631, *Luanda*. Ostrożnie przewracał kartki. Kolejne daty. Ostatni, choć bez dnia i miesiąca, był

rok 1635. Zatem dziennik. Gdzieniedzie natrafiał na odniesienia geograficzne: „góry Bailundu... góry Pungo Ndongo... stary szlak Benguela”, wszystkie z portugalskiej Angoli. Drugiego czerwca 1633 roku pojawiała się nowa lokalizacja: São Tomé, mała kolonia wyspiarska w Zatoce Gwinejskiej. „Płatek łupieżu z głowy Afryki, leżący wiele dni drogi na północ bagnistym wybrzeżem tego zapowietrzonego kontynentu”. Oczy Tomasa padły na zdanie zapisane kilka tygodni później: *Isso é minha casa*. „To jest dom”. Jednak zdania nie napisano tylko raz. Słowa wypełniały całą stronę. Cała stronica gęsto zapisana jednym krótkim zdaniem; powtarzające się wersy nieco falowały. „To jest dom. To jest dom. To jest dom”. I kolejna strona, i ćwierć następnej: „To jest dom. To jest dom. To jest dom”.

Co to znaczyło? Po co te szaleńcze powtórzenia? Możliwą odpowiedź znalazł w miejscu, gdzie to samo powtarzające się zdanie pokrywało niemal dwie strony, z jedną różnicą: na końcu padała wskazówka świadcząca o tym, że zdanie było elipsą, którą autor za każdym razem dopowiadał w myślach: „To jest dom. To jest dom. To jest dom, w którym umieścił mnie Pan do czasu, gdy przytuli mnie do swej piersi”. Ojca Ulissesa najwyraźniej nękała silna tęsknota za domem.

Na jednej ze stron Tomás znalazł osobliwy szkic twarzy. Rysy nakreślono pospiesznie, ale starannie oddano żałobne oczy. Przyglądał się im wiele minut. Zatopił się w ich smutku. W jego umyśle wirowały wspomnienia o niedawno zmarłym synu. Wychodząc z archiwum, ukrył dziennik pośród mało ważnych papierów w swoim neseserze. Nie okłamywał siebie. To nie była nieformalna pożyczka, to była

zwykła kradzież. Episkopalne archiwa Lizbony lekcewałyły dziennik ojca Ulissesa przez ponad dwieście pięćdziesiąt lat, więc i teraz nie będzie im go brakowało. Tomás chciał go w spokoju zbadać.

Gdy tylko znalazł czas, zaczął go czytać i przepisywać. Pracował powoli. Pismo, niekiedy całkiem czytelne, przechodziło miejscami w splątana kaligrafię; musiał mozolnie oddzielać poszczególne sylaby. Uderzające było, że początkową część dziennika napisano starannie, potem pismo znacznie się pogarszało. Końcowe strony z trudem dawało się odcyfrować. Kilku słów nie odczytał mimo usilnych prób.

Ta część dziennika, którą ojciec Ulisses pisał w Angoli, stanowiła tylko skrupulatną relację, umiarkowanie zajmującą. Autor był jeszcze jednym podwładnym biskupa Luandy, „siedzącego w cieniu na marmurowym tronie”, podczas gdy on uwijał się aż do stanu otępienia, chrzcząc niewolników. Za to na wyspie São Tomé ojcem Ulissemem zawładnęła desperacka siła. Oto rozpoczął pracę nad pewnym przedmiotem, tytułowym darem. Pochłaniała ona jego umysł i całą energię. Pisał o poszukiwaniu „najdoskonalszego drewna” oraz „odpowiednich narzędzi”; wspominał młodzieńcze terminowanie w sklepie wuja. Opisywał, jak kilkakrotnie oliwi dar, by go zakonserwować. „Moje błyszczące dłonie są rzemieślnikami pełnej oddania miłości”. Pod koniec dziennika Tomás znalazł dziwne słowa, wychwalające doniosły charakter owego dzieła:

On łśni, krzyczy, szczeka i ryczy. Syn Boży zaprawdę wydaje gromki krzyk, wydaje ostatnie tchnienie, gdy

świątynna zasłona rozdziera się z góry na dół. Dokonało się.

Gdzie terminował ojciec Ulisses, co takiego wytwarzał jego wuj? Co oliwił swymi dłońmi? Co lśniło, krzyczało, szczekało i ryczało? W dzienniku ojca Ulissesa Tomás nie mógł znaleźć odpowiedzi, wyławiał jedynie aluzje. Kiedy Syn Boży wydał gromki krzyk i ostatnie tchnienie? Na krzyżu. „Czy wobec tego tajemniczy przedmiot mógł być krucyfiksem?”, zastanawiał się Tomás. Z pewnością była mowa o jakiejś rzeźbie. Ale to nie wszystko. Według ojca Ulissesa chodziło o zupełnie nadzwyczajne dzieło. Ćma w duszy Tomasa drgnęła. Nagle przypomniał sobie ostatnie słowa Dory. Przykuta do łóżka, oburącz ścisnęła krucyfiks; bez względu na to, jak bardzo się rzucała i miotła, niezależnie od tego, jak krzyczała, nie wypuszczała go z rąk. To był tani mosiężny krzyż, nieduży, połyskujący matowo, w rodzaju tych, jakie wiesza się na ścianie. Dora umarła, przyciskając krucyfiks do piersi, w małym gołym pokoju, tylko w obecności Tomasa siedzącego na krześle przy łóżku. Gdy nadeszła ostatnia chwila, co poznał po nagłym urwaniu się jej głośniego, ochryplego oddechu (podczas gdy ich synek odszedł cicho, jak płatki opadające z kwiatu), poczuł, jakby po rzece przeciągnięto taflę lodu.

W następnych godzinach, gdy skończyła się długa noc i zaczął się ciągnąć nowy dzień, Tomás, czekając na grabarza, który wciąż się spóźniał, to uciekał z pokoju Dory, to wracał, odpychany przerażeniem, przyciągany przymusem. „Jak ja sobie bez ciebie poradzę?”, spytał ją raz błagalnie. Jego uwagę przykuł krucyfiks. Do tej pory praktykował religię,

ale w głębi serca był wobec niej obojętny. Teraz pojął, że wiarę trzeba albo potraktować z całkowitą powagą, albo z całkowitą powagą ją odrzucić. Oscylując między bezgraniczną wiarą a bezgraniczną niewiarą, wpatrywał się w krucyfiks. Pomyślał, że do czasu podjęcia ostatecznej decyzji zachowa krucyfiks na pamiątkę. Jednak Dora, czy raczej ciało Dory, nie chciała puścić. Z niesłabnącą siłą trzymała krzyż, chociaż praktycznie podniósł ją z łóżka, próbując wyrwać go z jej dłoni. (Dla porównania, Gaspar był po śmierci miękkim niczym duża wypchana lalka). Szlochając z wściekłości, skapitulował. W tej właśnie chwili powziął postanowienie, będące właściwie groźbą. Wbijając wzrok w krucyfiks, wyszczał: „Ty! Ty! Jeszcze się z Tobą porachuję, poczekaj tylko!”.

Grabarz przyszedł w końcu i zabrał Dorę z jej przeklętym krucyfiksem.

Jeżeli przedmiot wykonany przez ojca Ulissesa był tym, czego domyślał się Tomás na podstawie szalonej pisaniny księdza, musiał to być niezwykle, zaskakujący artefakt. Wywróciłby do góry nogami całe chrześcijaństwo. Ale czy przetrwał? To pytanie dręczyło Tomasa od chwili, gdy skończył czytać dziennik u siebie w mieszkaniu, po tym, jak wyniósł go ukradkiem z episkopalnego archiwum. W końcu ten przedmiot mógł zostać spalony lub porąbany na kawałki. Jednak w czasach przedindustrialnych, gdy dobra wykonywano pojedynczo i rozprowadzano powoli, jaśniały wartością, która zbladła wraz z nastaniem nowoczesnego przemysłu. Nawet ubrań nie wyrzucano. Skąpym strojem Chrystusa podzielili się rzymscy żołnierze, dla których był tylko nędznym żydowskim wichrzycielem. Skoro zwykłe

ubrania przekazywano sobie z rąk do rąk, z pewnością zachowano by sporą rzeźbę, szczególnie jeśli miała charakter sakralny.

A zatem ów przedmiot albo pozostał na São Tomé, albo opuścił wyspę. Ponieważ była biedna i zajmowano się na niej handlem, Tomás przypuszczał, że raczej go wywieziono. Miał nadzieję, że do macierzystej Portugalii, ale mógł też trafić do jednej z licznych faktorii lub miasteczek rozsianych na afrykańskim wybrzeżu. W obu przypadkach przewożono by go drogą morską.

Po śmierci ukochanej i syna Tomás całymi miesiącami szukał śladów wytworu ojca Ulissesa. W archiwach państwowych Torre do Tombo wertował księgi portugalskich statków, pływających wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki w ciągu kilku lat po śmierci ojca Ulissesa. Pracował z założeniem, że przedmiot opuścił wyspę São Tomé na pokładzie portugalskiego statku. Gdyby wywieziono go na statku cudzoziemskim, Bóg jeden wiedział, gdzie mógł trafić.

Wreszcie natknął się na księgę okrętową kapitana Rodolfa Pereiry Pacheco, którego galeon wypłynął z São Tomé czternastego grudnia 1637 roku. Wśród innych towarów znajdowała się „podobizna naszego Pana na Krzyżu, osobliwa i cudowna”. Serce zabiło mu szybciej. To była pierwsza i jedyna, na jaką natrafił, wzmianka o obiekcie sakralnym związanym z tą upodloną kolonią.

Każdy przedmiot odnotowany w księdze okrętowej miał adnotację o porcie docelowym. Wiele towarów wyładowano na Złotym Wybrzeżu i Wybrzeżu Niewolników, gdzie sprzedano je lub wymieniono na inne. Obok krzyża wpisanego do księgi okrętowej kapitana Pacheco widniało:

Lizbona. A więc krzyż dotarł do ojczyzny! Tomás wydał triumfalny okrzyk, całkiem niestosowny w czytelni archiwów państwowych.

Przerzucił do góry nogami całe Torre do Tombo, próbując ustalić, dokąd trafił krucyfiks ojca Ulissesa po dotarciu do Lizbony. Odpowiedź znalazł ostatecznie nie w archiwach państwowych, ale w episkopalnych, gdzie zaczynał. Ironia była jeszcze bardziej irytująca. Odpowiedź, w postaci dwóch listów, spoczywała na tej samej półce z archiwaliami kardynała Valdereisa, na której odkrył dziennik, tuż obok miejsca, gdzie leżał, zanim Tomás go zgarnął. Gdyby tylko dziennik przymocowano do listów sznurkiem, oszczędziłoby mu to wiele pracy.

Pierwszy list, z datą dziewiątego kwietnia 1804 roku, pochodził od biskupa Bragançy, Antónia Luísa Cabrala e Câmary, który pytał, czy dobry kardynał Valdereis miałby może jakiś dar dla parafii w Wysokich Górach Portugalii, gdzie w wyniku niedawnego pożaru spłonęło kościelne prezbiterium. Biskup zaznaczał, że chodzi o „świetny stary kościół”, ale nie wymieniał jego nazwy ani lokalizacji. W odpowiedzi, której kopię dołączono do korespondencji biskupa Câmary, kardynał Valdereis pisał: „Z przyjemnością ślę Ci obiekt kultu, który znajduje się od pewnego czasu w diecezji lizbońskiej, niezwykle przedstawienie naszego Pana na Krzyżu, pochodzące z kolonii afrykańskich”. Skoro list leżał tuż obok dziennika z kolonii afrykańskich, czy wzmianka mogła dotyczyć czegokolwiek innego niż dzieła ojca Ulissesa? Zdumiewające, że choć kardynał Valdereis miał przedmiot tuż pod nosem, nie potrafił go właściwie ocenić. Jednak duchowny nie wiedział – a więc i nie widział.